Oświadczenie złożone przez senatora Andrzeja Mioduszewskiego na 68. posiedzeniu Senatu w dniu 14 grudnia 2018 r.

5 marca 1946 r. w amerykańskim mieście Fulton były już wtedy premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill z ogromną troską w głosie powiedział: „Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem zapadła żelazna kurtyna, dzieląc nasz kontynent". Później słowa o „żelaznej kurtynie" były wypowiadane w różnych konfiguracjach przez najróżniejszych polityków Zachodu w ciągu kolejnych 43 lat. Churchill w tym czasie został uznany za jednego z największych mężów stanu XX w. Jakież to dziwne. Wręcz niepojęte. Jakby nastąpiła jakaś zbiorowa amnezja. Wszyscy zapomnieli – włącznie z samym Churchillem – że nieco ponad 3 lata wcześniej w Teheranie on sam wraz ze Stalinem i amerykańskim prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem przymocowali karnisz, a niespełna 2 lata później w Jałcie osobiście przypięli stalowe żabki do tej żelaznej kurtyny.

Nie mówię o tym, żeby się wyzłośliwiać i przedstawiać jakieś historyczne pretensje. Nie mówię o tym, że najprawdopodobniej nie byłoby żelaznej kurtyny, gdyby w 1939 r. Brytyjczycy i Francuzi wywiązali się z przyjętych na siebie zobowiązań wobec Polski. Mówię o tym dlatego, by przypomnieć stare polskie powiedzenie: „Umiesz liczyć? Licz na siebie!" Solidarność europejska jest mitem! Uwierzcie mi. Słowa moje nie mają nic wspólnego z obecnymi wydarzeniami politycznymi. One mają kontekst doświadczeń historycznych, które są niezbitym dowodem na to, że przede wszystkim liczy się solidarność narodowa. Ta europejska czasem jest, a częściej jej nie ma, ale narodowa musi być zawsze. Bo, jak powiedział jeden z Ojców Niepodległości Polski, Roman Dmowski, „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie".

W 1961 r. synonimem „żelaznej kurtyny" stał się 156-kilometrowy mur berliński. Jego zburzenie jest dziś dla wielu zachodnich polityków, historyków i społeczeństw symbolem upadku komunizmu. Ale i tu wystąpiła jakaś niezrozumiała zbiorowa amnezja. Jakoś zapomniano, że najwięcej kamieni z tego muru wyrywano nie w Berlinie, ale właśnie w Polsce. Oprócz naszych dziadów, ojców i nas samych tylko Węgrzy w 1956 r. z chlubnym udziałem Polaków i Czesi w 1968 r. z niechlubnym udziałem tak zwanego Ludowego Wojska Polskiego kruszyli ten mur. Jednak najwięcej cegieł wyrwali właśnie Polacy. W 1956 r. w Poznaniu, w 1968 r. w Warszawie, w 1970 r. na Wybrzeżu, w 1976 w Radomiu i Ursusie, w 1980, 1981 i 1989 r. w całej Polsce. Wymieniłem tylko kilka symbolicznych dat i miejsc, ale kruszenie komunistycznego betonu odbywało się każdego dnia. To było jak wydrapywanie wolności pazurami, po których spływała polska krew. Krew spływająca po ścianach ubeckich piwnic; krew płynąca po ulicach Poznania, Wybrzeża, Nowej Huty, Lublina czy Katowic, tak jak w kopalni „Wujek"; krew księdza Jerzego Popiełuszki i setek ofiar, które zginęły z rąk tak zwanych nieznanych sprawców. A mimo to wydrapywanie trwało. Powoli, ale systematycznie. Przez ponad 4 dziesięciolecia wydawałoby się, że to zadanie jest beznadziejne. Komunistyczne władze i ich mocodawcy ze Wschodu mieli bowiem dobrze wyszkolonych robotników, którzy dysponowali właściwymi dla nich narzędziami budowlanymi, by łatać wydrapane przez uczciwych Polaków dziury w murze zniewolenia. Tymi budowlanymi narzędziami były czołgi, wozy opancerzone i lufy karabinów, a w nieco spokojniejszych chwilach – ścieżki zdrowia, bicie, zastraszanie, kłamstwo, manipulacja i cenzura. Robotnikami były ubecja, ZOMO, niestety czasami także wojsko i wcale niemała liczba konfidentów, którzy za kilka srebrników sprzedawali polską sprawę. A mimo to ten symboliczny berliński mur wciąż pękał, sypał się i kruszył. Kruszył się tym mocniej, im więcej było represji, im więcej było chorej propagandy, im więcej było koksowników, przy których ogrzewali się wykonawcy sowieckich poleceń, i im więcej było kontroli na rogatkach miast.

Nie chciałbym tu deprecjonować śmierci tych 98 ofiar, które zginęły w chwili bohaterskiej próby przekroczenia muru berlińskiego. Osoby te wykazały się niezwykłą odwagą i determinacją. Jednak prawda jest też taka, że mur ten został zburzony przez berlińczyków dopiero wtedy, gdy tu, w Polsce, zostały podkopane jego fundamenty, a wspomniane wcześniej śmiercionośne narzędzia budowlane nie zagrażały już bezpieczeństwu burzących. On został zburzony rękami berlińczyków, ale polską krwią.

Szanowni Państwo!

Zryw społeczny 1980 r. był czymś niezwykłym. Czymś euforycznym. Wprowadzenie stanu wojennego było jak uderzenie społeczeństwa obuchem w tył głowy. To uderzenie rzeczywiście nas odurzyło. Jednak nie było to odurzenie spowodowane bólem, a raczej niedowierzaniem i wściekłością. Ówczesna władza chciała tym posunięciem stworzyć społeczeństwo potulne i bezwolne. Nie wzięła jednak pod uwagę specyfiki polskiej duszy, która przyciśnięta butem, zbiera w sobie wielkie pokłady siły. Być może to paradoks, a być może

to już taka nasza polska natura, że w chwilach najtrudniejszych zaczynamy się konsolidować. Tak było i wtedy. Po chwilowym oszołomieniu, wzmocnieni bezwzględną brutalnością władzy, złowieszczymi dźwiękami karabinowych kul i pał uderzanych o zomowskie tarcze, powstaliśmy, by odrodzić się jako kraj w pełni suwerenny. Dlatego proszę was wszystkich: na pamięć tych, którzy oddali życie, walcząc z komunistyczna zarazą – bez względu na poglądy i zapatrywania – bądźmy solidarni. Solidarni jako Polacy!

Andrzej Mioduszewski